

Arthur Rimbaud: Iluminacje

„Iluminacje” stanowią część tomu pt.: „Struny ziemi” - zbioru przekładów poetyckich Jarosława Iwaszkiewicza pod redakcją Radosława Romaniuka. Fragment publikujemy za uprzejmą zgodą Państwowego Instytutu Wydawniczego. W numerze „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Rimbaud. Liryka otchłani” zamieszczonej również rozmowę z Radosławem Romaniukiem.

PO POTOPIE

Jak tylko opadła idea Potopu,
Zając się zatrzymał wśród pola koniczyn i drżących dzwoneczków
i zmówił pacierz do tęczy poprzez pajęczyny.
Ach! Jakież drogie kamienie się chowały — jakie kwiaty rozkwitały.
Na szerokiej, zabłoconej ulicy poczęto ustawiać stragany, ciągniono
łodzie ku morzu, spiętrzonemu w górze jak na starych rycinach.
U sinobrodego krew popłynęła — w rzeźniach, w cyrkach, gdzie pod
pieczęcią Boga bladły jamy okien. Krew i mleko pociekły.
Bobry zaczęły budować. Mazagrany dymiły w cukierniach.
W wielkim domu, za oknami ociekającymi jeszcze deszczem, dzieci w
żałobie oglądały cudowne obrazki.
Drzwi skrzypnęły; a na placu wioskowym dziecko wyciągając ręce
zakręciło się w kółko jak chorągiewki i kogutki na wszystkich wieżach
wśród kaskady deszczu.
Pani X ustawiła fortepian w Alpach. Odprawiano mszę i pierwszą

komunię przy tysiącach katedralnych ołtarzy.

Karawany wyruszyły. A „Splendid–Hotel” zbudowano pośród chaosu lodów i nocy polarnych.

I znowu odtąd słyszał Księżyc, jak skomlą szakale wśród pustyni cząbru i jak eldogi kopyt chrząkają w ogródkach. A później w liliowym rozwijającym się borze Eucharis powiedziała mi, że to już wiosna.

Rozlej się, stawie – Piano, zalej mosty i wzbierz ponad lasy; – kiry i organy, trony i błyskawice, przybieracie i roztoczcicie się; – Wody i smutki, zastąpcie mi dawne Potopy.

Gdyż od kiedy one opadły – drogie kamienie się skryły, a kwiaty rozkwitły – nuda zapanowała! A Królowa, Czarownica, która rozpała żar w glinianym garnku, nigdy nie powie nam, co wie, a czego my nie wiemy.

DZIECIŃSTWO

I

Ta boginka o oczach czarnych i grzywie żółtej, bez rodziców i bez dworzan, Meksykanka i Flamandka; dziedzictwo jej, swawolny lazur i zieleń, i bieży po wybrzeżach, nazwanych przez fale bez okrętów imionami dziko greckimi, słowiańskimi, celtyckimi.

Na leśnym poszyciu – kwiaty marzenia brzękają, lśnią, świecą – dziewczyna o wargach z pomarańczy, ze skrzyżowanymi nogami wśród jasnej powodzi, która głośzy łąki, nagość, którą oceniają, przenikają i odziewają tęcze, flory i morze.

Damy krążące na tarasach sąsiadujących z morzem; dziewczynki i olbrzymki, czarne wspaniałe w mchu zielonoszarym, klejnoty sterczące na i żywej ziemi młodych gajów i wiosennych ogródków –

matki młode i dorosłe siostry o spojrzeniach pełnych świętych pielgrzymek, sułtanki, księżniczki o strojach i ruchach tyranek, małe cudzoziemki i osoby nieszczęśliwe a ciche.

Jak nudno jest w godzinach „drogiego ciała” i „drogiego serca”.

II

To ona, maleńka umarła, za krzakami róż. – Młoda zmarła mamusia idzie wzdłuż gazonu. – Wózek kuzyna skrzypi na piasku. – Braciszek (jest teraz w Indiach) tam, na tle zachodu, wśród łąki goździków. Starcy, których pogrzebano tak wyprostowanych, gdzieś na wałach wśród koniczyn.

Rój liści złotych otacza dom jenerała. Wyjechali na południe. – Trzeba iść czerwoną drogą; dochodzi się do pustej oberży. Pałac na sprzedaż; okiennice oddarto. – Ksiądz zabierze klucz od kościoła. – Wkoło parku domki stróżów niezamieszkane. Parkan tak wysoki, że widać tylko szmerliwe wierzchołki. Zresztą nic tam nie ma do ujrzenia.

Łąki ciągną się aż do wioski bez kogutków, bez wesołych kowadeł. Śluza podniesiona. O kalwarie i młyny pustyni, wyspy i sterty!

III

Kwiaty magiczne brzęczały. Pagórki je kołysały. Zwierzęta bajecznie zręczne krążyły. Chmury zbierały się nad przypiływem utworzonym z wieczności gorących łez.

IV

W lesie istnieje ptak. Gdy usłyszysz śpiew jego, staniesz i zarumienisz się.

Istnieje zegar, który nie uderza.

Istnieje trzęsawisko z gniazdem białych zwierząt.

Istnieje katedra, która się pogrąża, i pióro, które się wznosi.

Istnieje wózek w gąszczu opuszczony lub we wstążkach, zbiegający w dół ścieżką.

Istnieje trupa małych komedianów w kostiumach, spostrzeżona na drodze poprzez leśne poszycie.

Istnieje wreszcie ktoś, kto cię wypędzi, gdy będziesz głodny i spragniony.

V

Jam święty w modłach na tarasie, podczas gdy zwierzęta domowe pasą się

aż do Morza Palestyńskiego.

Jam uczony w ciemnym fotelu, gałęzie i deszcz biją w okna biblioteki.

Jam wędrowiec na wielkiej drodze przez lasy karłowate, szum śluzy głośzy moje kroki. Widzę melancholijne chusty na zachodzie.

Mógłbym być dzieckiem opuszczonym na grobli wybiegającej ku pełnemu morzu, małym pazikiem idącym aleją, której strop tyka niebios[1].

Ścieżki są ponure, wzgórza okrywają się janowcem. Powietrze nieruchome. Jak daleko są wszystkie ptaki i źródła! Dalej może być już tylko koniec świata.

VI

Niech mi pochwalą wreszcie ten grób głęboko w ziemi, ten grób pobieleny wapnem z wypukłymi liśćmi cementu.

Opieram się łokciem o stół, lampa oświetla jaskrawo pisma, które ja idiota odczytuję na nowo i te nudne książki.

Nad moim podziemnym salonem w wielkiej odległości zarysowują się domy i skupiają w mgły. Błoto jest czerwone lub czarne. Potworne miasto, wre bez końca!

Na mniejszej wysokości znajdują się ścieżki. Po bokach nie ma nic prócz szerokości globu. Może przepaści lazuru? Studnie ogni?

Możebne, że na tych płaszczyznach spotykają się komety, księżyce, morza i bajki.

A w godzinach goryczy wyobrażam sobie kufle z szafiru, z metalu. Jestem panem Ciszy. Po cóż więc ślad okienka miałyby rozświetlać załamy mego i sklepienia.

BAJKA

Pewnemu księciu sprzykrzyło się być zawsze środkiem wulgarnych doskonałości. Przewidywał, że są zadziwiające rewolucje w miłości, i podejrzewał swe żony, iż mogą one daleko więcej niż przyjemna, ugrzeczniona rozkosz i rozpusta. Chciał ujrzeć prawdę w godzinie istotnej pożądliwości i istotnego zaspokojenia. Być może było to zboczeniem jego nabożnych zamiarów, jednak tak było. Przynajmniej posiadał silną ludzką władzę.

Wszystkie kobiety, które znalazł, kazał zamordować: jaka rzeź w ogrodzie Piękności. Pod mieczem błogosławiły mu. Nie pożywał nowych. –

Kobiety i zjawyły się jednak.

Zabił wszystkich, którzy zdążali za nim, wśród polowania lub na uczie. –
– Wszyscy zdążali za nim.

Zabawiał się, dusząc zbytkowne zwierzęta. Kazał spalić pałace. Rzucał się na ludzi i rozdzierał ich w kawały. – Złote dachy, piękne zwierzęta, istniały wciąż.

Wszak można poczuć ekstazę zniszczenia, odmłodnieć przez okrucieństwo. Lud nie szemrał. Nikt nie krzyżował jego zamiarów. Pewnego wieczora dumnie galopował. Geniusz pewien ukazał mu i się. Geniusz o piękności niewypowiedzianej, prawie niemożliwej. Oblicze jego i postać dyszały obietnicą wielorakiej, skomplikowanej miłości. Szczęścia niewymownego, niedozwolonego. Książę i geniusz unicestwili się prawdopodobnie w istotnym oczyszczeniu. Jakże mogli nie umrzeć? Wszakże, razem umarli.

Ale książę ów zmarł w swym pałacu w wieku zwyczajnym. Książę był geniuszem. Geniusz był księciem. – Pożądaniu naszemu braknie muzyki uczonej.

ANTYK

Synu Pana, wdzięku pełny! Wokół twego czoła uwiecznzonego kwieciem i jagodą, oczy twe, gałki cenne, ruszają się. Policzki twe wydęte zwałane sokiem i brązowym.

Pierś twa do lutni podobna, a w twych ramionach jasnych krążą drobne pulsowania. Serce twe bije w tym żołądku, gdzie drzemie dwoistość płci. Przechadzaj się nocą, poruszając lekko to udo i to drugie udo, i tę nogę niezgrabną (lewą?).

ŻYWOTY

O aleje olbrzymie ziemi świętej, tarasy świątyni! Co uczyniono z braminem, który mi wyłożył Przypowieści?. Zresztą, stamtąd nawet widzę stare kobiety! Przypominam sobie godziny srebra i słońca na rzekach, gdy stałem z ręką towarzyszki na ramieniu; jak pieściliśmy się stojąc pośród równin pieprznych. – Wzlot gołębi szkarłatnych grzmi wokół mej myśli. – Wygnańcem byłem, a posiadałem scenę do odgrywania arcydzieł dramatycznych wszystkich literatur. Pokażę wam bogactwa niesłychane. Oglądam dzieje skarbów, któreście znaleźli. Widzę ciąg dalszy. Mądrość moja jest tak samo wzgardzona jak chaos. Ale czym jest moja nicość wobec osłupienia was czekającego?

II

Jestem wynalazcą o innych zasługach niż moi poprzednicy; jestem jak muzyk, który znalazł coś niby klucz miłości. Teraz, szlachcic na chudej wsi pod skromnym niebem, próbuję się wzruszyć wspomnieniami żebraczego dzieciństwa rerminatorstwa i podróży na bosaka, polemik, pięciu czy sześciu wdowieństw, paru hulanek, gdzie ma mocna głowa nie pozwoliła mi dojść do diapazonu towarzyszy. Nie żałuję dawnej mej części boskiej radości: skromność tej kwaskowatej wsi dzielnie żywi mój ostry sceptycyzm. Lecz – ile że ten sceptycyzm nie może być wprowadzony w czyn i że zresztą oddany jestem nowemu niepokojowi – zdaje mi się, że się stanę bardzo złośliwym szaleńcem.

III

Na strychu, gdzie byłem zamknięty, mając dwanaście lat, poznałem świat, objaśniałem komedię ludzką. W lamusie nauczyłem się historii. W pewne święto nocne w mieście Północy spotkałem wszystkie kobiety starożytnych malarzy. W starym pasażu w Paryżu uczono mię nauk klasycznych. We wspianiałej miejscowości, okolonej przez cały Wschód, spełniłem moje wielkie dzieło i dokonałem mej znakomitej ucieczki. Przelałem swą krew. Obowiązek mój jest mi odpuszczony. Nie trzeba już nawet o tym myśleć. W rzeczywistości jestem poza grobem i precz ze zleceniami.

ODJAZD

Dosyć widzenia. Wizja spotyka się we wszelkich klimatach.

Dość posiadania. Gwary miasta wieczorem i w słońcu, i zawsze.

Dosyć poznania. Więżenia życia. – O Gwary i Wizje!

Odjazd w nowe uczucia i nowe brzmienia.

KRÓLEWSKOŚĆ

W piękny poranek, w pośrodku ludu łagodnego, dumny mężczyzna i dumna kobieta wołali na placu publicznym: „Przyjaciele, chcę ją uczynić królową”. „Chcę być królową”. Śmiała się i drżała. On mówił zaś

przyjaciołom o objawieniu, o próbie, która się skończyła. Wspierali siebie nawzajem.

I rzeczywiście byli królami przez cały poranek, kiedy karminowe draperie wznosiły się nad domami, i przez całe popołudnie, kiedy się zbliżali ku ogrodowi.

DO ROZUMU

Jedno uderzenie twego palca o bęben znosi wszystkie dźwięki i poczyna nową harmonię.

Jeden twój krok jest powstaniem nowych ludzi oraz ich: „naprzód!”.

Głowa się odwraca: nowa miłość! głowa się zwraca: nowa miłość!

„Zmień nasze losy, przesiej klęski, na początek czasów” – śpiewają ci owe dzieci. „Podnieś dokądkolwiek chcesz treść naszych szczęść i naszych życzeń” – proszą cię.

Przychodniu z zawsze – odejdiesz w rozległe wszędzie.

RANEK UPOJENIA

O m o j e Dobro! O m o j e Piękno! Fanfara okrutna, niezdolna mną zachwiać! Sztalugi czarodziejskie! Hurra na dzieło niesłychane i na ciało czarowne, po raz pierwszy! To się poczęło wśród śmiechu dzieciennego, dzieciennym śmiechem się to skończy. Trucizna pozostanie w naszych żyłach nawet wówczas, gdy ze zmianą fanfary będziemy powróceni do starodawnej inharmonii! A teraz my, tak bardzo godni tych tortur, zbieramy z zapalem nadludzką obietnicę daną naszemu ciału i naszej duszy: Obietnica ta, kłamstw to! Zręczność, wiedza, siła! Obiecano nam pogrześć w ciemności drzewo dobrego i złego, wygnąć

wszelką tyraniczną uczciwość, abyśmy przywiedli nas: najczystsza miłość! To się poczęło paroma niesmakami i to się skończy – nie mogąc nas natychmiast przejąć tą wiecznością – skończy się to przez wylew wonności.

Śmiechu dziecinny, dyskrecjo niewolników, surowości dziewic, strachu przed postaciami i rzeczami tutejszymi, bądźcie uświęcone przez wspomnienie wigilii dzisiejszej.

Zaczęło się to wśród wszelkiego prostactwa, a oto kończy się wśród aniołów z płomieni i lodu.

Mała wigilio upojenia! Święta, gdybyś nawet udarowała nas tylko mas Utwierdzamy cię, metodo! Nie zapominamy, iżeś wczoraj opromieniła sławą wiek nasz każdy! Wierzymy w truciznę. Potrafimy oddać nasze życie całkowicie codziennie.

Oto jest czas Morderców.

ZDANIA

Gdy świat zostanie zacieśniony w jedyny czarny las dla czworga naszych zadziwionych oczu – w wybrzeże dla dwojga wiernych dzieci – w dom muzyczny dla naszej świetlistej sympatii – znajdę ciebie.

Gdyby na tym świecie istniał tylko starzec spokojny i piękny, otoczony niesłychanym przepychem, i ja u twoich kolan.

Gdybym spełnił wszystkie twe wspomnienia – gdybym był tą, która cię usidlić potrafi – zadusiłbym cię.

*

Gdy jesteśmy bardzo mocni – kto z nas się cofnie? Gdy jesteśmy weseli – kto odstąpi od śmieszności? Gdy jesteśmy bardzo źli – cóż nam uczynią?

Przystrajajcie się, tańczcie, śmieJCie się. Nie potrafiłbym nigdy wyrzucić i miłości za okno.

*

Towarzyszko moja, żebraczko, dziecko potworne! Jakże cię nic nie obchodzą wszyscy biedacy i utrudzeni, i wszystkie moje kłopoty. Pójdź z nami. Głos twój niemożliwy jedynie będzie nam pochlebiał w tej złośliwej rozpacz.

*

Mglisty ranek lipcowy. Smak popiołu unosi się w powietrzu. Zapach drzewa potniejącego w kominie – kwiaty wymoknięte – bezład przechadzek – mżenie kanałów na polach. – A czemuż jeszcze nie zabawki i nie wonne kadzidła?

*

Przeciągnąłem sznury z dzwonnicy na dzwonnice; wieńce od okna do okna, złote łańcuchy od gwiazdy do gwiazdy – i tańczę.

*

Wysoki staw paruje nieustannie. Jakaż czarownica wzniesie się na białym i zachodzie? Jakie fioletowe deszcze spadną?

*

Gdy fundusze publiczne tracone są na ucztach braterskich, w chmurach dzwoni dzwon z różowego ognia.

*

Odświeżając przyjemny smak tuszu, pył czarny pada leciuchno na moje czuwanie. – Obniżam płomienie świecznika, rzucam się na łóżko i – zwrócony ku cieniowi – widzę was, moje dziewczęta, moje królowe!

ROBOTNICY

Przepiękny lutowy poranek! Nieoczekiwane Południe obudziło wspomnienie bezsensownej biedy, młodej naszej nędzy.

Henryka miała na sobie perkalową spódnicę w białe i brązowe kratki, jaką noszono chyba przed stoma laty, czepek z wstążkami i chustkę

jedwabną. To wyglądało smutniej niż żałoba. Szliśmy przez przedmieścia. Było mgliście i w z południa podnosił wszystkie smrody spustoszonych ogrodów i zwiędłych łąk.

Nie męczyło to mojej kobiety, ale mnie bardzo. W kałuży, którą mini powódź pozostawiła na wysokiej ścieżce, pokazała mi stadko milutkich rybek.

Dymy i hałas warsztatów miasta goniły za nami daleko w pole.

Gdzież są inne światy, mieszkania błogosławione przez niebo, cienie?

Południe przypomniło mi żalosne zdarzenia dzieciństwa, rozpacz w letnie upały, stras; ilość wiedzy i siły, którą los wciąż ode mnie oddalał.

Ach! Nie. Nie zamieszkam w tym kraju ubogim, gdzie zawsze będziemy tylko sierotami narzeczonymi. Nie chcę, aby ta uschnięta ręka wlokła za sobą ten drogi obraz.

MOSTY

Szare kryształowe niebo. Dziwaczny deseń mostów prostych, kolistych ukośnych, wspierających się pod kątem na innych; wzory odnawiające się w coraz to innych świetlistych okręgach kanału, lecz wszystkie tak wydłużone i lekkie, że brzegi obarczone kopułami zmniejszają się i zniżają. Niektóre mosty są jeszcze obciążone lepiankami. Inne podtrzymują maszty sygnalizacyjne, lekkie przepierzenia. Akordy minorowe snują się i krzyżują; struny wychodzą na brzegi. Można dostrzec czerwoną koszulę, może inne odzienia i instrumenty muzyczne. Czy są to piosnki ludowe, czy zakończenia koncertów wielkopańskich, pogłosy hymnów narodowych? Szarosina woda jest jak szeroka morska odnoga.

Promień biały, padając z góry, niszczy tę całą komedię.

MIASTA I

To są miasta! To naród, dla którego spiętrzyły się te Alleghany i te Libany marzenia. Domki z drzewa i kryształu, poruszane na niewidzialnych szynach i blokach. Odwieczne kratery, przepasane kolosami i palmami z miedzi, ryczą melodyjnie wśród ognia. Święta miłosne rozbrzmiewają na kanałach zawieszonych ponad domkami. Pogoń dzwonków wrzeszczy w przesmykach ulic. Przebiegają zrzeczenia olbrzymich śpiewaków ze strojami i sztandarami jaskrawymi jak światło na szczytach. Na platformach zawieszonych wśród otchłani Rolandy trąbią swą odwagę. Na kładkach ponad przepaściami i na dachach karczem płonące niebo rozwiesza flagi na masztach. Upadki apoteozy dosięgają pół na wysokościach, gdzie centaussy seraficzne wiją się pomiędzy lawinami. Ponad szczytami najwyższych grzebieni morze wzburzone wiecznymi narodzinami Wenus, naładowane flotami orficznymi, szelestem pereł i drogocennych muszli – morze zaciemnia się czasami w śmiertelnych błyskach. Na stokach ryczą żniwa kwiatów, wielkich jak nasze narzędzia i pokosy. Orszaki królowych Mab w szatach rudych, opałowych, wynurzają się z wąwozów. W górze jelenie z rogami pogrążonymi w kaskady i ciernie ssają Dianę. Bachantki z przedmieścia szlochają, a księżyc pali się i wyje. Wenus zagląda do pieczar kowali i pustelników. Grupy dzwonnice śpiewają idee narodów. Z pałaców zbudowanych z kości dolatuje nieznana muzyka. Wszystkie legendy rozwijają się i wzloty ciskają się na miejsciny. Raj burz topnieje. A dzicy bez przestanku tańcem świętują swoje święto nocy. I o jakiejś godzinie zapuściłem się w ruch bagdadzkiego bulwaru, gdzie spółki przemysłowe opiewały radość nowej pracy, krążąc wokół szerokiego wiatru i nie mogąc uniknąć bajecznych widziadeł gór, gdzie należałoby

się znaleźć z powrotem.

Czyje dobre ręce, jaka piękna godzina zwróci mi ten kraj, skąd pochodzą moje sny i moje najsłabsze odruchy?

ŚLADY KÓŁ

Na prawo letnia zorza budzi liście, mgły i szmery tego zakątka parku, a na lewo wzgórze zachowują w swoim fioletowym cieniu tysiąc prędkich śladów na wilgotnej drodze. Pochód czarodziejstw. Naprawdę: wozy ładowne drewnianymi złożonymi zwierzętami, masztami i pstrymi żaglami, ciągnięte w galopie przez dwadzieścia łaciatych koni cyrkowych, i dzieci, i ludzie na najdziwniejszych zwierzętach; – dwadzieścia pojazdów powiązanych linami, przybranych jak starodawne lub bajkowe karety flagami i kwieciami, pełne dzieci ustrojonych na sielanki podmiejskie; – lub też trumny wznoszące swe pióropusze hebanowe pod baldachimem nocy, ciągnięte przez wielkie siwe i kare klacze.

MIASTO

Jestem efemerycznym i trochę niezadowolonym obywatelem stolicy, niby to współczesnej, gdyż wszelki znany styl został wykluczony w umeblowaniu i wewnętrznym wyglądzie domów, jak również w planie miasta. Nie znajdziesz tu śladów żadnego pomnika przesądów. Wreszcie moralność i język zostały sprowadzone do najprostszych wyrazów. Miliony ludzi, którzy nie czują potrzeby wzajemnego poznania, prowadzą tak jednakże czas wykształcenia swego, zajęcia starości – iż ciąg tego żywota zapewne parę razy jest krótszy, niż to stwierdza

oszała statystyka. I właśnie, podczas gdy z mojego okna oglądam nowe widziadła, przedzierające się poprzez gęsty, wieczysty dym węglowy – nasz cień lasów, naszą noc letnią! – przed moim domkiem, który jest moją ojczyzną i cał; moim sercem, gdyż wszystko tu woła owe widziadła, Erynie nowe, Śmierć niełzawa, córka i sługa pracowita, Miłość zroczona i piękny Występek – skomlą w błocie ulicy.

WŁÓCZĘGI

Żałosny bracie! Ile ci winien jestem okrutnych nocy bezsennych! „Nie wstrzymałem się od tego szalonego zamiaru. Bawiłem się kalectwem. Gdybym się był omylił, powrócilibyśmy na wygnanie, do niewolnictwa”. Miał mnie za dziwaczego nicponia i podejrzewał o dziwaczną niewinność, dodając niepokojące uzasadnienia.

Odpowiadałem śmiechem temu doktorowi satanicznemu, a potem stawałem przy oknie. Nad równiną, którą przebiegały rzesze rzadkiej muzyki, stwarzałem widziadła przyszłej rozpusty nocnej. Po tej lekko higienicznej rozrywce wyciągałem się na macie. I prawie co noc, ledwie zasnął, biedny brat wstawał z gnijącymi ustami, z wylupionymi oczami – jak gdyby we śnie! – i włóczył mnie po sali, wyjąc o swoim śnie idiotycznego smutku.

Rzeczywiście, w szczeroci ducha powziąłem zamiar powrócić go jego pierwotnemu stanowi Syna Słońca – i błądziliśmy, karmiąc się winem piwnicznym i sucharem przydrożnym, podczas gdy ja musiałem wreszcie znaleźć miejsce i formułę.

CZUWANIA

I

To jest oświetlony spoczynek, nie gorączka, nie rozleniwienie, na łożku i lub na łące.

To jest przyjaciel, ani gorący, ani słaby. Przyjaciel.

To jest kochanka, ani dręcząca, ani udręczona. Kochanka.

Powietrze i świat nieszukane. Życie.

– Czyż to było to?

–A marzenie się wzmacnia.

II

Oświetlenie wraca do drzewa budynku. Z dwóch krańców sali, przy jakichkolwiek upiększeniach, harmonijne wzruszenia łączą się. Ściana przed czuwającym jest psychologicznym następstwem wyrębów, fryzów, wstęg atmosferycznych i wypadków geologicznych. – Marzenia intensywne i szybkie grup sentymentalnych z istotami o wszelkich charakterach pomiędzy wszelką i powierzchownością.

III

Lampy i dywany czuwania czynią w nocy szmer fal wzdłuż kadłuba i okrętowego i naokoło burt.

Morze czuwania takie jak łono Amelii...

Dywany do połowy wysokości, gęstsze koronek zabarwionych

szmaragdami, dokąd rzucają przepiórki czuwania...

Blacha czarnego ogniska, realnych nadbrzeżnych słońc: ach, cysterny magii; tym razem tylko widok zorzy.

IV

Jeszcze jesteś w epoce kuszenia świętego Antoniego. Wybuch przykróconego zapału, drgnięcia dumy chłopięcej, zmęczenie i przerażenie.

Ale się weźmiesz do tej pracy: wszystkie harmonijne i architektoniczne możliwości będą się poruszały wokół twego tronu. Nieprzewidzianie doskonałe istoty poddadzą się twoim doświadczeniom. Wokół ciebie wzburze marząco ciekawość starożytnych tłumów i rozluźnionego zbytku. Pamięć twa i twoje zmysły będą tylko pożywieniem dla twego porywu twórczego. A co się stanie ze światem, gdy wynijdziesz? W każdym razie nie zostanie nic z obecnych zewnętrzności.

MISTYKA

Anioły zataczają kręgi lnianymi szatami na skłonie pagórka, po trawie stali i szmaragdu.

Łąki płomieni buchają aż na szczyt wzgórza. Wszyscy mężobójce i wszystkie bitwy depcą grzbiet wzgórza na lewo, a hałasy wszystkich upadków snują się na wygięciu. Za prawym grzbietem linia wschodów, postępów.

I podczas gdy górny pas obrazu składa się z kręcącego i skaczącego

szmeru konch morskich i ludzkich nocy, kwietna słodycz gwiazd, nieba i rzec innych zjawia się przed pochyłością jak kosz przed naszą twarzą, tworząc dole otchłań kwiecistą i błękitną.

KWIATY

Ze złotego stopnia, pomiędzy nićmi szarego jedwabiu, szarą gazą, płatami zielonego aksamitu i tarczami z kryształu, który w słońcu czernieje jak brąz – widzę naparstnicę, rozkwitającą na dywanie ze srebrnych filigranów, z oczu i z włosów.

Sztuki żółtego złota rozsiane po agacie, filary mahoniowe, podtrzymujące katedry szmaragdów; bukiety białego jedwabiu i delikatne pręty rubinów, otaczające lilię wodną.

Jak bóg o błękitnych olbrzymich oczach i śnieżnych kształtach, morze i niebo przyciągają ku marmurowym tarasom tłum młodych i silnych róż.

NOKTURN WULGARNY

Powiew otwiera wyrwy w zagrodach – miesza obroty przeżartych dachów i – rozprasza granice ognisk domowych – zaćmiewa drogi rozstajne.

Oparłszy się nogą o rynnę – zjechałem wzdłuż winorośli do karety, której epokę ściśle określają wklęsłe szkła, wypukłe malowidła ścienne i wygięte sofy. Samotny katafalk mego snu, dom pasterski mego błazeństwa, pojazd ów skręca po trawniku wielkiej, zarośniętej drogi; w rysie, która jest w górnej części prawego szkła, kręcą się nikłe figury księżycowe, liście, piersi.

– Mocna bardzo zieleń i błękit zalewają obraz.

Popas w okolicy śladu na żwirze.

– Tu będziemy gwizdać na burze – i Sodomy, i Solimy, zwierzęta dzikie i armie.

(Czyż woźnica i widmowe zwierzęta pojedą dalej pod sklepieniem zdyszanych puszczy, aby mnie po oczy zanurzyć w jedwabnym źródle?)

– I posyłać nas pod batami, byśmy się toczyli wśród szczekania psów i przez wody chlupocące i rozlane napoje?

– Powiew rozprasza granice ogniska.

NIEPOKÓJ

Czyż może się stać, że Ona mi pozwoli zapomnieć o ciągle miażdżonych ambicjach – że łatwy koniec naprawi wieki oburzenia – że jeden dzień powodzenia uspi nas mimo wstydu naszego fatalnego nieporozumienia?

(O Palmy! Diamencie! Miłości, siło! – Wyżej niż wszystkie radości i chwały! – Na wszelki sposób – wszędzie – demonie, boże – młodości tej istoty: ja!)

Czyż wypadki czarodziejstwa naukowego i ruchy braterstwa społecznego będą cenne jako stopniowe przywrócenie pierwotnej szczerości?...

Lecz Wampir–kobieta, która nas czyni grzecznymi, każe nam, abyśmy się bawili tym, co nam pozostawia, lub byśmy byli w jakikolwiek bądź inny sposób jeszcze bardziej śmieszni.

Lecieć po rany, przez męczące powietrze i morze; na kaźń przez ciszę raniących wód i powietrza; na tortury, które śmieją się w ich okrutnie rozkołysanej ciszy.

KOLEJ NAPOWIETRZNA

Od cieśniny indyga ku morzom Osjana, na piasku różowym i pomarańczowym, który omyło niebo, wznoszą się i krzyżują kryształowe bulwary, zamieszkiwane bezustannie przez młode, biedne rodziny, żywiące się u handlarzy owoców. Nic bogatego. – Miasto! Kaski, kola, barki, zady – wszystko z najdziwniejszego dymu, jaki i wydać ocean w żałobie, biegnie wprost z pustyni asfaltu, zbacza z drogi, mi się z płachtami spiętrzonych mgieł, w okropnym tłumie leci ku niebu, które uchyla, cofa i zniża. – Bitwa!

Podnieś głowę: ta arka drewnianego mostu; te ostatnie warzywne o te maski widniejące pod latarnią, którą noc chłodna biczuje; głupawa Ondyna) w szmerliwej sukni, w dole rzeki; czaszki świecące na grzędach grochu, i inne fantasmagorie. – Wieś.

A tam drogi otoczone sztachetami i murami, ledwie zdolne ogarnąć bujne gaje, okrutne kwiaty, które można by nazwać sercami i siostrami, pożądliwie zgrzebny adamaszek, – posiadłości feerycznych arystokracji zarębskich, wciąż gotowe do pochłaniania starożytnej muzyki, – lub oberży, się już nigdy nie otworzą, lub księżniczki i, jeśli nie jesteś zbyt przytłoczony, jeszcze badanie gwiazd. – Niebo.

Poranek, gdyście się z Nią szamotali pomiędzy błyskami śniegu, wargami zielonymi, lodami, czarnymi sztandarami i błękitnymi promieniami i purpurowymi woniami biegunowego słońca. – Twoja siła.

BARBARZYŃSTWO

W dużo czasu po dniach i porach roku, stworzeniach i krajach, Bandera krwawego mięsa na jedwabiu mórz i kwiatów podbiegunowych (które nie istnieją).

Stare fanfary bohaterstwa – które nam jeszcze uderzają do serca i do głowy – odrzucone poza dawnych morderców.

– Och! Bandera krwawego mięsa na jedwabiu mórz i kwiatów podbiegunowych (które nie istnieją).

Słodycze!

Żar padający przy podmuchach mroźnego wiatru. – Słodycze! – Te dżdżyste ognie i wiatr diamentów rzuconych przez ziemskie serce wiecznie dla zwęglane. – O, świecie!

(Poza stare kryjówki i stare płomienie, które słyhać, które czuć).

Żar i piana. Muzyka, bezdnie wirujące, uderzenia lodowców o gwiazdy.

Słodycze! Świecie! Muzyko! A tam płynne kształty, poty, włosy i oczy.

I łzy białe, wrzące – o, słodycze! – i głos kobiecy, przenikający do głębin wulkanów i grot podbiegunowych... – Bandera...

WYPRZEDAŻ

Na sprzedaż to, czego Żydzi nie sprzedawali, czego nie próbowała ani szlachta, ani zbrodniarze, to, czego nie znają miłość przeklęta ani piekielna uczciwość mas! To, czego nie znajdziesz w czasie ani w nauce!

Głosy odbudowane; braterskie ocknienia wszelkich energii w chórach i w orkiestrach, i ich przemijające zastosowania. Jedyna okazja rozkucia naszych zmysłów!

Na sprzedaż ciała bezcenne, pozarasowe, pozaświatowe, pozapłciowe, nieobciążone dziedzicznością. Bogactwa tryskające za każdym poruszeniem! Niesprawdzone przez nikogo żoły diamentów.

Na sprzedaż anarchia dla mas. Nieprzygmatalne zadowolenie dla
najwyższych miłośników. Śmierć okrutna dla wiernych i kochanków.
Na sprzedaż popasy i wędrówki; sporty, feerie i doskonałe komforty,
i hałas, ruch oraz przyszłość, którą one stworzą.
Na sprzedaż zastosowania rachunków i płasy niesłychanie harmonijne.
Wynalazki i terminy nieprzeczuwalne, natychmiastowe owładnięcie; ku
blaskom niewidzialnym, ku słodyczom niedoznawalnym,
niedostrzegalny a nieskończony wzlot – i tajnie jego, z szaleństwem
pchające do każdej zbrodni, i radość jego, przerażająca tłumy.
Na sprzedaż ciała, głosy, bogactwo nieodjemne, to, czego nikt nigdy nie
będzie sprzedawał.
A sprzedający nie sprzedaje resztek! A wędownicy nie potrzebują
zdawać rachunków z kupionych towarów!

MŁODOŚĆ

I. Niedziela

Odrzucenie rachunków. Nieuniknione zejście z nieba i odwiedziny
wspomnień, i posiedzenie rytmów ogarnia dom, głowę i świat duchowy.
Koń tętni na torfie podmiejskim, po polach i wśród zalesi, zgnany
węglową zarazą. Nieszczęsna kobieta z dramatu, gdzieś w świecie,
wzdycha do żalosnej samotności. Desperaci tęsknią do burzy, upojeń i
ran. Dzieci małe tłumią przekleństwa na wybrzeżach rzek.
Przy dźwięku pracy pożerającej, która gromadzi się i zbiera w tłumach –
powróćmy do pracy naukowej.

II. Sonet

Człowieku o pospolitej budowie, czyż ciało nie było owocem wiszącym w sadzie; – o dnie dziecinne; – ciało, skarb do zmarnowania; – miłować, siła czyli zguba? Psyche? Ziemia na skłonach płodna była w książęta i artystów, a dziedziczność i rasa popychały was do zbrodni i do smutków; świat jest szczęściem i zgubą. Lecz teraz, po dopełnieniu tej pracy, ty wyrachowany, ty niecierpliwy, jesteś tylko tańcem i głosem, nieokreślonym, nieprzymuszonym, jako podwójny wynik wynalazczości i powodzenia, rozum – w ludzkości braterskiej i dyskretniej przez wszechświat pozbawiony [...] [2]; – siła i prawo obmyślają taniec i śpiew, teraz dopiero określone.

III. Dwadzieścia lat

Głosy pouczające wygnane... Popędy fizyczne gorzko ustatkowane... – Adagio. – Ach, nieskończony egoizm pacholęctwa, optymizm pracowity: jakże pełen kwiatów był świat tego lata. Pieśni i kształty ginące... — Chór, aby ukoić niemoc i nieobecność. Chór szklany melodii nowych... Naprawdę zaś nerwy wkrótce znowu się rozruszają.

IV. Wojna [3]

W dzieciństwie pewne nieba kreśliły moją optykę: wszystkie cechy cieniowały moją twarz. Zjawiska się mutowały. A teraz wieczne zboczenie momentów i nieskończoność matematyki gnają mnie przez ten świat, gdzie zapewniono nam wszelkie mieszczańskie powodzenie, w szacunku dziwnego dzieciństwa i olbrzymich uczuć.

Myślę o wojnie. Wojnie prawa i siły lub siły zgoła przez logikę
nieprzewidzianej.
Jest to proste jak fraza muzyczna.

SCENY

Komedia starożytna ciągnie swe akordy i rozdziela swe idylle: bulwary
rusztowań.

Filar drewniany od końca do końca skalistej przestrzeni, gdzie pod
obnażonymi drzewami przewija się tłum barbarzyński.

W korytarzach czarnej gazy, za krokami przechadzających się z
latarniami i liśćmi.

Ptaki komedianckie spadają na łódź mularską, poruszaną przez
archipelag pokryty statkami widzów.

Sceny liryczne, przy akompaniamencie fletu i bębna, schylają się w
zakątkach rozłożonych na sufitach, wokoło salonów modnych klubów
lub sal starożytnego Wschodu.

Na szczycie amfiteatru, uwieńczonego zaroślami, tworzy się
czarodziejskie przedstawienie – lub porusza się i moduluje dla
Beotyjczyków w cieniu borów ruchomych, na przełomach kultur.

Opera komiczna rozsnuwa się na naszej scenie na przecięciu dziesięciu
spiętrzonych zagród galerii ognistej.

BOTTOM

Choć rzeczywistość była zbyt ciernista dla mego potężnego charakteru
– znalazłem się jednak u mojej pani jako wielki szaro-niebieski ptak,
wznoszący się ku rzeźbom sufitu, włączający skrzydłem w cieniach

wieczoru.

U stóp baldachimu, podtrzymującego jej ukochane klejnoty oraz cud jej ciała, byłem wielkim niedźwiedziem o fioletowych dziąsłach, z sierścią osiwiiałą ze zmartwienia, z oczami utkwionymi w kryształę i srebra konsoli.

Wszystko stało się cieniem i akwarium płomieni. Rankiem – świeciła mi wojownicza zorza czerwcową – ja, osiołek, pobiegłem przez pola, trąbiąc i wywijając swoją krzywdą, dopóki Sabinki przedmieść nie rzuciły się na moje piersi.

H.

Wszystkie potworności obrażają surowe gesty Hortensji. Jej samotność jest mechaniką erotyczną; jej znużenie dynamiką miłosną. Pod opieką dziecięctwa była ona w licznych epokach gorącą higieną ras. Drzwi jej otwarte są dla nędzarzy. Tam moralność istot terażniejszych wciela się w jej namiętność lub czynność. – O straszny dreszczu miłości niedoświadczonych na ziemi skrwawionej i przez świetlany wodór! – znajdź Hortensję.

POBOŻNOŚĆ

Siostrze mojej Ludwice Vanaen de Voringhen: – Jej czepek niebieski, zwrócony ku Morzu Północnemu. – Dla rozbitków.

Siostrze mojej Leonii Aubois d’Ashby: Bań. Trawa letnia brzękliwa a śmierdząca. – Na gorączkę matek i dzieci.

Lulu–demonowi – który zachował swoje upodobanie do modlitw z czasów Przyjaciółek i swej skromnej edukacji. Dla mężczyzn.

Pani ***

Pacholęciu, którym byłem. Temu starcowi świętemu w pustelni lub misji.

Duchowi biednych. Bardzo wysokiemu duchowieństwu.

Równie dobrze każdemu kultowi w miejscu określonym kultu pamięciowego, myślowego, wśród określonych wypadków, z których trzeba sobie zdać sprawę, idąc za popędem chwili, lub też własnego poważnego nałogu.

Dziś wieczór w Circeto wielkich lodów, gruba jak ryba i oświetlona jak dziesięć miesięcy czerwonej nocy – (serce jej ambra i spunks). – Dla moje modlitwy samotnej, niemej, jak państwa nocy, a poprzedzającej brawurowe czyny, gwałtowniejsze niż polarny chaos.

Za każdą cenę i pod każdym pozorem, nawet w podróży metafizycznych. – Ale precz z „więc”.

GENIUSZ

Jest on umiłowaniem i terażniejszością – bowiem otworzył dom swój zimie burzliwej i pogwarom lata – ów, który oczyścił napoje i pokarmy – który jest czarem miejsc uciekających i nadludzką rozkoszą przystanków. – Jest on umiłowaniem i przyszłością, siłą i miłością, którą my, stojąc wśród wściekłości i nudów, oglądamy lecącą po burzliwym niebie wśród sztandarów ekstazy.

Jest miłością, miarą wyborną i na nowo wynalezioną, przyczyną czarodziejską i niespodziewaną, i jest wiecznością: przyrzędem ukochanym przez fatalne własności. Byliśmy przerażeni jego i naszym następstwem: o radości naszego zdrowia, porywie naszych zdolności, o uczucie egoizmu, o namiętności do niego, który nas miłuje za swój żywot wieczysty...

A my go wołamy i przybywa... I jeżeli Uwielbienie odchodzi, i jego

obietnica dźwięczy: „Precz z przesądami tymi, starymi ciałami, precz z gospodarstwem i z wiekiem. Już idzie na dno ta epoka!”.

Nie odejdzie, nie zejdzie z niebiosów on, nie dopełni odkupienia kobiecych złości i męskiej wesołości, i wszelakiego grzechu: przez sam jego byt, przez samo miłowanie jego stanie się to, gdy on będzie, gdy on będzie umiłowan.

Opowiemy jego głowy, biegi: szybkość straszliwa doskonałości formy i czynu.

O urodzajności umysłu i nieskończoności wszechświata! Ciało jego!
Rozwiązanie wyśnione, skuszenie się wdzięku skrzyżowanego z nową potęgą!

Wzrok jego, wzrok! Wszelkie odwieczne upadki na kolana i kary p o d i n i e s i o n e za jego przejściem.

Światło jego! Stopienie wszelkich cierpień dźwięcznych i ruchliwych i w najintensywniejszej muzyce.

Krok jego! Wędrowki większe od najść starożytnych hord.

O! On i my! Duma łaskawsza od zgubionego miłosierdzia!

O świecie! Jasny śpiewie nowych klęsk!

Poznał nas wszystkich i wszystkich ukochał: Wiedzmy więc, jak w tę noc zimową od przylądka do przylądka, od gwarneho bieguna do pałacu, od tłumu do wybrzeża, od spojrzenia do spojrzenia, ze słabnącymi czuciami i siłami, nawoływać go, patrzeć nań i odsyłać go; i pod kałużami, i w najwyższych pustyniach śnieżystych iść za jego wzrokiem, powiewem, za ciałem, za jego światłem.

Współautor przekładu: Jerzy Mieczysław Rytard

Przypisy:

[1] Wstawka przekładu Miriama (przyp. J.I.)

[2] W tym miejscu rękopisy brak wyrazu [przyp. R. R.]

[3] Wojna, publikowana jako autonomiczna miniatura, w przekładzie Iwaszkiewicza i Rytarda jest IV częścią utworu Młodość, zastępując fragment, który nie został przełożony [przyp. R.R.]



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

